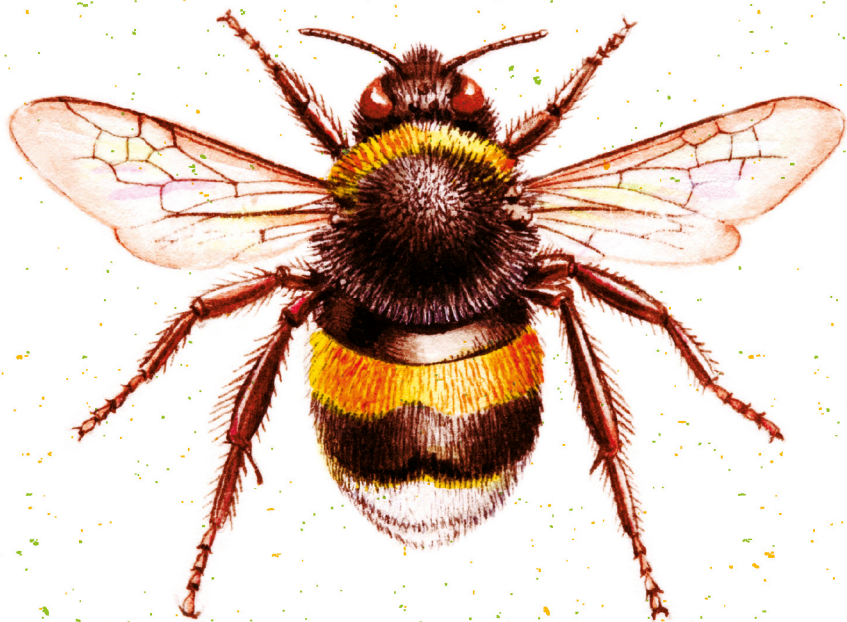


# ŻĄDŁA RZĄDZA

MOJE PRZYGODY Z TRZMIELAMI



DAVE GOULSON

MARGINESY



DAVE GOULSON

ŻĄDŁA

RZĄDZA

MOJE PRZYGODY Z TRZMIELAMI

Przełożyła Anna Bańkowska

MARGINESY

*Mojemu najmłodszemu synowi Sethowi.  
Oby zawsze mógł się cieszyć ukwieconymi łąkami  
oraz widokiem i brzęczeniem trzmieli.*

*A Sting in the Tale*

COPYRIGHT © Dave Goulson 2013

First published in Great Britain in 2013 by Jonathan Cape

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Anna Bańkowska

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY WYDAWNICTWO MARGINESY,

WARSZAWA 2017

## Prolog

Moje zainteresowanie trzmielami i w ogóle owadami sięga siódmego roku życia, kiedy to nasza rodzina przeprowadziła się z małego bliźniaka na obrzeżach Birmingham do wioski Edgmond w Shropshire. Ojcu, który był nauczycielem, wychowanym w pobliżu targowego miasta Newport, zależało, aby jego dwaj synowie zdobyli porządne wykształcenie. W Newport istniała (i istnieje nadal) dobra podstawówka, do której swego czasu sam uczęszczał, i miał nadzieję, że my z bratem pójdziemy w jego ślady, jeśli oczywiście zdamy egzaminy wstępne.

W wieku siedmiu lat raczej nie zaprzątałem sobie głowy szkołą, za to pokochałem nasz nowy dom. Z perspektywy czasu widzę go jako brzydki, pokryty wysypką kamyków szeregowiec z ohydą przybudówką z płaskim dachem, ale mali chłopcy nie zwracają uwagi na takie szczegóły. Ważne, że miał znacznie większy ogród niż ten, do którego przywykłem. Były tam duże ukwiecone rabaty, jabłonie i śliwy, sadzawka, dwie stare drewniane szopy pełne pajęczyn i wielkich pajaków, na których widok dostawałem gęsiej skórki, starczało też miejsca na warzywnik ojca. W dodatku naprzeciwko domu rozciągała się otwarta wiejska przestrzeń. Wystarczyło przejść przez główną drogę i przeskoczyć kamienny murek, by znaleźć się w szczerym polu z ogrom-

nym kasztanowcem, w sam raz do wspinania. W słoneczne dni często chronił się w jego cieniu nieprzystępny jabłkowi-ty koń. Poruszał nerwowo ogonem, oganiając się od much, i miał skłonność do gryzienia i kopania. Wiosną drzewo ro-ilo się od trzmieli, które zlatywały się do różowo-kremowych piramidek kwiatów. Obfitość owadów oznaczała, że pod ko-niec lata należy się spodziewać mnóstwa kasztanów, a my z kolegami, ukryci w zielonej gęstwinie gałęzi, będziemy mogli bombardować nimi przechodniów.

Ojca niespecjalnie interesowały kwiaty; pozwalał mi uprawiać, co tylko chciałem, więc zasadziłem lawendę, bu-dleję i kocimiętkę, żeby przyciągnąć trzmielę i motyle. Na jednej z szop puściłem wiciokrzew dla ciem, posadziłem też wierzbę rodzaju męskiego, by zapewnić trzmielom po-żywienie od wczesnej wiosny. Z rozpadającej się chałupy na drugim końcu pola wydłubałem stare cegły, które przytasz-czyłem do domu w plecaku, i zbudowałem z nich skalniak. Na spodzie zostawiłem dość miejsca na trzmielowe gniaz-da, a szczyt obsadziłem komonicą; kwiaty przeznaczyłem dla pszczoł, a smaczne liście – dla gąsienic popularnych modraszków. Wykopałem większą sadzawkę i umieściłem w niej trzaski, cierniki oraz inne podobne stworzenia rezy-dujące w miejscowym kanale.

Nie mam pojęcia, skąd mi się to wzięło. Ojciec uczył hi-storii i po dziś dzień może z pamięci wyrecytować angielskich monarchów, poczynawszy od Wilhelma Zdobywcy, wraz z datami, oraz określić wiek budynku po kształcie okien czy kwiatonach\*. O trzmielach jednak nie ma zielonego pojęcia,

\* Kwiaton – detal architektoniczny w kształcie kwiatu, charakterystyczny dla gotyku i neogotyku (przypisy, których nie podpisano inaczej, pochodzą od tłumaczki).

choć próbowałem go wyedukować. Z kolei matka, która prowadziła zajęcia sportowe, świetnie radziła sobie z rakie-tą tenisową i pałką do roundersa, ale przyroda w ogóle jej nie interesowała. Nie przepadała za robalami i panicznie bała się pająków. Dlatego musiałem uczyć się samodzielnie, wykorzystując do tego celu szeroki wachlarz podręcz-ników historii naturalnej i kluczy do oznaczania gatunków. Na szczęście rodzice chętnie mi je kupowali – ojciec kochał wszelkiego rodzaju książki.

Jedyną dorosłą osobą, która aktywnie wspierała moje za-interesowania, była nauczycielka z podstawówki, sroga pan-na Scott. Niska, tęgawa szatynka o gęstych kręconych wło-sach, jako osoba dość krewka, miała skłonność do wywrzas-kiwania rozkazów i reprimend. Z początku baliśmy się jej; poprzednio mieliśmy do czynienia z łagodnymi paniami od nauczania początkowego. Szybko jednak wykryliśmy w oczach panny Scott iskierki wesołości i zrozumieliśmy, że ta surowa mina jest tylko na pokaz. W dodatku lubiła zabie-rać nas na wycieczki, podczas których szukaliśmy różnych zwierzaków i owadów, uczyła nas też rozpoznawać drzewa po liściach i zastawiać pułapki na żuki. Szczególnie upodo-bała sobie polowania w wodzie. Pamiętam, jak codzien-nie wyprawialiśmy się nad kanał (i zawsze wtedy świeciło słońce), po czym nasza klasa szybko zapełniała się słoika-mi po dżemie, w których przechowywaliśmy łupy: kijanki, pluskwiki, groźne larwy ważek, wielkie wodne chrząszcze, krocionogi i wiele innych. Najbardziej upodobałem sobie pewną larwę ważki – to brzydkie krępe brązowe stworzenie czało się nieruchomo na dnie słoika, czekając, aż się je na-karmi. Codziennie wrzucaliśmy tam kijankę czy jakiegoś robaka i obserwowaliśmy z niezdrową ciekawością, jak larwa

wypuszcza teleskopowe szczypce, a potem chwytą i pożera swoją bezbronną zdobycz.

Od początku starałem się ściągnąć do ogrodu jeszcze więcej dzikich stworzeń i następnej wiosny zacząłem dostrzegać rezultaty. Na wierzbowych baziach i mioduncie zauważyłem świeżo wybudzone z zimowego snu wielkie trzmiele – królowe. Owady te spały przez siedem miesięcy, od lipca ubiegłego roku, więc wyhodowana przeze mnie wiosenna uczta okazała się szczególnie pożądana. Zaspokoivszy głód, królowe latały nisko nad ziemią, w poszukiwaniu odpowiedniego dołka na gniazdo. Widziałem, jak królowa trzmiele gajowego penetruje przestrzeń pod jedną z szop. Chyba przypadła jej do gustu, bo za kilka tygodni pojawiły się mniejsze robotnice, które wyfruwały stamtąd na żer i pół godziny później wracały z ogromnymi kulami żółtego pyłku na odnóżach. Przesiadując tam godzinami, zauważyłem, że w miarę upływu czasu wzrasta zarówno ruch wokół gniazda, jak i liczba robotnic. Niestety żadne trzmiele nie zdradzały najmniejszej ochoty do zagnieżdżenia się w specjalnie dla nich przygotowanych apartamentach pod powierzchnią skalniaka.

Nadeszło lato i ogród zatętnił życiem. Budleję obsiadły motyle – pokrzywniki, pawie oczka\*, duże i małe bielinki – oraz trzmiele i bzygi. Na powierzchni nowej sadzawki pluskwiaki z rodziny nartnikowatych toczyły bitwy terytorialne z krętakami, a wysoką, fioletową tojeść na brzegu objęła w posiadanie ważka z gatunku husarz władca. Polowała stamtąd na inne latające owady, chwytając je w powietrzu zwinnymi nóżkami, i przeganiała każdą inną ważkę, która

---

\* Właściwa nazwa: rusalka pawik.

ośmieliła się wejść jej w drogę. Po dziś dzień zdumiewa mnie, jak szybko te wszystkie stworzenia opanowały ogród, mimo tak niewielkiego wysiłku z mojej strony.

Pewnego razu, po wielkiej letniej ulewie, znalazłem na budlei kilka zmokłych trzmieli i postanowiłem je osuszyć. Tak się nieszczęśliwie (dla nich) złożyło, że ze względu na młody wiek nie podołałem praktycznej stronie tego przedsięwzięcia. Teraz wiem, że najrozsądniej byłoby puścić na nie łagodny strumień powietrza z suszarki do włosów mamy, ale ja ułożyłem mokre owady na płytce kuchenki elektrycznej, przykryłem je bibułką i włączyłem najniższą temperaturę. W tym wieku czekanie wydaje się czymś nieznośnym, więc tymczasem poszedłem nakarmić moje bezwzględne małe myszoscoczki. Pamięć o trzmielach wróciła mi dopiero, gdy poczułem dym. Bibułka zdążyła już zająć się ogniem i biedne owady spaliły się na węgiel. Czułem się okropnie: mój pierwszy krok na rzecz ochrony trzmieli zakończył się katastrofą! Nie wróżyło to dobrze na przyszłość, ale przynajmniej nauczyłem się, że po przekroczeniu pewnej temperatury te owady nie czują się dobrze. Jak przekonamy się później, z tego samego powodu tak rzadko spotyka się je w Hiszpanii.

Należałem do zagorzałych fanów książek Geralda Durrella, zwłaszcza tych o dzieciństwie na Korfu, kiedy to kolekcjonował fascynujące zwierzaki różnych gatunków i trzymał je w swojej sypialni. Miał tam sowy, węże, żółwie, a na dodatek nigdy nie chodził do szkoły (uczył go w domu ekscentryczny guwerner, bardziej zainteresowany walką na miecze niż algebrą). Gerald posiadał nawet osła, który nosił wszystkie jego siatki i słoiki po dżemie. Zżerała mnie straszna zazdrość, więc robiłem, co w mojej mocy, by pójść w jego

ślady, ale musiałem się zadowolić nieco bardziej prozaiczną fauną Shropshire. Wierciłem rodzicom dziurę w brzuchu, żeby pozwolili mi rozszerzyć asortyment moich ulubieńców, począwszy od świnek morskich, królików, chomików i myszy. Męczyliśmy ich z bratem bez cienia litości, dopóki wreszcie nie zgodzili się na szczeniaka – śliczną krzyżówkę labradora, którą z kompletnego braku wyobraźni nazwaliśmy Plamką (od białej łatki na grzbiecie). Kiedy suczka dorosła, łatka znikła, co prowadziło do okazjonalnych nieporozumień. Tak czy inaczej okazała się niebywale łagodnym i tolerancyjnym psem, który cierpliwie znosił nasze bezustanne dowcipy i wytrwale towarzyszył nam w wyprawach po okolicy.

Kiedy przygasł już blask nowości otaczający moje tradycyjne zwierzaki, przeniósłem zainteresowanie na bardziej egzotyczne okazy, takie jak tropikalne rybki, żaby leopardowe, żółwie czerwonołice, węże pończoszники i anolisy zielone. Swój pokój z widokiem na kasztanowiec wypełniałem pudełkami własnej roboty i pojemnikami, z których nawet najbardziej tępe stworzenia nieodmiennie uciekały. Pończoszники więcej czasu spędzały poza swoim terrarium niż w jego wnętrzu, więc doprowadzony do rozpacz, spróbowałem przymocować wieko taśmą klejącą, lecz miało to opłakany skutek. Jednemu z węży udało się jakimś cudem sforsować wieko, ale przykleił się do taśmy i tak bardzo starał się uwolnić, że beznadziejnie splątał się z nią w jeden kłębek. Minęło kilka godzin, zanim udało mi się go od niej oddzielić. W końcu zrezygnowałem z regularnych polowań na uciekinierów i być może jakiś pończoszник po dziś dzień żyje sobie gdzieś pod podłogą tego domu.

Na któreś urodziny dostałem małą ogrodową woliere. Umieściłem w niej papużki faliste i parkę pięknych chińskich przepiórek\*. Jako dorosły zrozumiałem, że trzymanie ptaków w niewoli (szczególnie dużych papug w małych pokojowych klatkach) to okrucieństwo, ale wtedy nie zaprzętałem sobie głowy nadmierną wrażliwością. Lubiałem siedzieć w woliere z ptakami fruującymi wokół mojej głowy. Wkrótce papużki zaczęły się rozmnażać, dzięki czemu mogłem uzupełniać moje kieszonkowe o dochody ze sprzedaży ich przychówku (przepiórki także składały dużo jajek, ale nigdy nic się z nich nie wylęgło). Pisklęta papużek okazały się brzydkimi stworzeniami o nieproporcjonalnie wielkich łebkach. Zwykle dość szybko porastały w piórka i stawały się naprawdę urocze, ale jeden biedny pisklak najwyraźniej im nie dorównywał, gdyż pozostał zupełnie łysy. Niebawem spróbował wyfrunąć z gniazda i spadł jak kamień na ziemię. Niezrażony, wgramolił się z powrotem po siatce za pomocą dzioba i pazurków, aż przyłączył się do reszty papużek, siedzących na najwyższej grzędzie. Biedne maleństwo co pewien czas ponawiało próby wzbicia się w powietrze, trzępiąc różowymi skrzydełkami, ale za każdym razem lądowało na ziemi. Żył tylko około sześciu miesięcy, ale w zimie i tak nie miałoby szans na przetrwanie.

Moich podopiecznych cechował dość wysoki stopień śmiertelności. Pewnego niedzielnego ranka mama przygotowywała właśnie swój legendarny pieróg (prowadzi znakomitą, choć bardzo tradycyjną kuchnię; zawsze podaje mnóstwo mięsnych dań z ziemniakami i jarzynami, a na deser ciężkie gorące puddingi, kruszonki z owocami albo *spotted*

---

\* *Coturnix chinensis*.

*dick* z kremem jajecznym). Chyba nie bardzo wiedziałem, co z sobą zrobić, i trochę jej przeszkadzałem, bo uznała, że akwarium w mojej sypialni na gwałt potrzebuje czyszczenia: szkło obrosło zielenią od alg, przez co rybek już w ogóle nie było widać. Posłusznie zabrałem się do skrobania szkła od wewnątrz i miałem już ręce zanurzone po łokcie w ciepłej wodzie, kiedy dobiegł mnie głos mamy:

– Dave, co tam się pali? Chyba nie bawisz się znowu zapalkami?

Otóż zanim zabrałem się do pracy, wyjąłem z wody elektryczną grzałkę w szklanym wodoszczelnym cylindrze i położyłem ją na boku, na drewnianej szafce. Nie przyszło mi tylko do głowy, żeby odłączyć ją od prądu, więc rozgrzała się do czerwoności i wypaliła dziurę w blacie szafki. (Nigdy nie pojąłem, jak mama wyczuła tak szybko i na taką odległość zapach spalenizny). Bez namysłu złapałem grzałkę za kabel i wrzuciłem ją do akwarium. Oczywiście rozgrzane szkło i zimna woda to nie jest najszcześniejsza kombinacja. Cylinder pękł z hukiem, a część grzewcza wpadła do wody (na szczęście nie włożyłem tam ręki) i błyskawicznie raziała prądem wszystkie rybki. Zadrzały spazmatycznie i zanim wreszcie wyciągnąłem wtyczkę z kontaktu, wszystkie były martwe.

Zdarzyło mi się jeszcze wiele takich katastrof, ale chyba największą traumę przeżyłem przy przepiórkach. Te śliczne stworzenia kręciły się po wolierze, grzebiąc w ściółce w poszukiwaniu jedzenia. Samczyk miał po obu stronach dzioba eleganckie czarno-białe kreski, a na łebku imponujący pióropusz. Samiczka, raczej nijaka, odznaczała się tylko ciemnymi kropeczkami. Parka była nierozłączna, zawsze jedno tuż przy drugim, i często przeczesywała sobie nawzajem piór-

ka. Wolałem te ptaki od papużek, które szybko uznałem za wrzaskliwe, prostackie i kiczowate (być może na moją opinię wpływał fakt, że ilekroć miałem z nimi do czynienia, dotkliwie mnie dziobały). Otóż w Shropshire zimą jest mroźno, jak przekonał się mój łysy pisklak. Region ten leży zbyt daleko od morza, by odczuwać jego łagodzący wpływ, i często padają tam angielskie rekordy niskich temperatur. Kiedy po jednej wyjątkowo zimnej nocy przyszedłem nakarmić ptaszki w wolierze, zaskoczył mnie widok papużek atakujących przepiórkę. Obsiadły je po dwie albo i trzy i wrywały im bezlitośnie piórka ostrymi dziobami, podczas gdy biedne ofiary daremnie próbowały je z siebie strząsać. Wkroczyłem do środka i przepędziłem napastników. Nieszczęsne ptaszki ledwie trzymały się na nogach, ale żyły. Wziąłem każdego do jednej ręki i zaniósłem do domu. Dopiero na podłodze w kuchni okazało się, co im jest. Przewracały się za każdym razem, kiedy próbowały się podnieść. Po dokładniejszym badaniu zobaczyłem, że nie mają palców! W nocy tak je sobie odmroziły, że im odpadły. Zostały tylko kikuty, na których nie mogły ani stać, ani chodzić. Zupełnie nie wiedziałem, co począć. Z czystej desperacji dorobiłem im protezy z plasteliny i zapalek, ale nic to nie pomogło, więc włożyłem je do tekturowego pudła, nasypałem tam trochę pożywienia i poszedłem do szkoły.

Po powrocie zastałem wszystko bez zmian. Moim przepiórkom palce nie odrosły w cudowny sposób, nie nauczyły się też chodzić na plastelinowo-zapałczanych protezach. Po prostu leżały w pudle i wydawały się trochę słabsze. Wtedy dotarła do mnie brutalna prawda: one nie wrócą do zdrowia. Nie da się ich naprawić. Już wcześniej, kiedy zamarzyła łysa papużka, wyrzuty sumienia doprowadziły mnie do wniosku,



że miłosierniej byłoby zapewnić jej szybką śmierć. I to właśnie mając na uwadze, zdecydowałem, że pozostało mi tylko jedno wyjście.

Nie pamiętam, dlaczego w tym momencie nie zwerbowałem do pomocy rodziców, którzy zawieźliby pewnie biedne przepiórki do weterynarza. Szybki śmiertelny zastrzyk byłby najrozsądniejszym rozwiązaniem, ale mali chłopcy nie myślą logicznie. Dlatego wziąłem z szopy siekiere – pełnowymiarową siekiere, o wiele dla mnie za dużą. Zaniósłem ptaszki na koniec ogrodu i ułożyłem obok siebie na trawie. Pomyślałem, że lepiej będzie zrobić to za jednym zamachem, żeby jeden nie widział śmierci drugiego. Leżały spokojnie, patrząc na mnie ciągle bystrymi oczkami i wciąż bezskutecznie wymachując nóżkami. Podniosłem siekiere i wziąłem porządny zamach od pleców. Celowałem tak, żeby trafić w oba łebki naraz. Ostrze wbiło się w trawnik tuż przed dziobami wystraszonych, ale wciąż żywych ptaków. Z trudem udało mi się wyrwać siekiere z gruntu i uderzyłem ponownie. Sukces! Mniej więcej. Nie tyle obciąłem im łebki, ile po prostu przepołowiłem oba ptaki, ale rezultat był taki sam. Potem wykopałem przy skalniaku dołek i ułożyłem je tam na wieczny spoczynek, bok w bok, tak jak trzymały się przez całe życie.

Mógłbym tak jeszcze długo. Mógłbym wspomnieć o strasznym losie aksolotla meksykańskiego albo o sfuszrowanej próbie operacji korekcyjnej ciężko rannego gawrona. Ale wystarczy powiedzieć ogólnie, że przynależność do grona moich ulubieńców była dość niebezpieczna.

Jednocześnie z gromadzeniem różnego rodzaju stworzeń stałem się zagorzałym kolekcjonerem. Wstyd przyznać, ale zaczęło się od ptasich jajek. W latach siedemdzie-

siątych na angielskiej wsi było to dość popularne chłopięce hobby. Wielu moich kolegów zbierało jajka i rywalizowaliśmy z sobą w zdobywaniu rzadkich okazów. Ojciec nauczył mnie robić wydmuszki; sam zajmował się tym jako dziecko, przeszukując te same co ja żywopłoty. Na końcach jajka wykłuwało się malutkie dziurki, obracając między palcami szpilkę, naciskało jej czubkiem skorupkę. Potem dmuchało się w jedną dziurkę, żeby wypchnąć zawartość przez drugą. Przy kurzym jajku rzecz jest stosunkowo łatwa, ale gdy ma się do czynienia na przykład z maleńkim brązowo nakrapianym jajeczkiem strzyżyka, wymaga nie lada zręczności. Mój szczególnie cenny okaz pochodził od łabędzia niemego. Raz, kiedy wypuściliśmy się na „jajkowanie” nad miejscowy kanał z Lesem i Markiem (czyli Dupkiem, jak nazywaliśmy go z dawno zapomnianych powodów), zauważyłem w trzinach przy drugim brzegu opuszczone gniazdo. Reszta ptaków dawno się wykłuła i nigdzie nie było śladu ani po rodzicach, ani po łabędziątkach. Bez wahania zrzuciliśmy swetry i koszulki, wiedząc, że pierwszy, który tam dotrze, wygra. Dupek i Les zaczęli zdejmować dzinsy, ale ja wskoczyłem do wody w spodniach, dzięki czemu ich wyprzedziłem. Jajo okazało się zgniłe; ledwie wbiłem w nie szpilkę, z drugiego końca wytrysnął mi prosto w twarz strumień jasnej, gruzelkowej brei, śmierdzącej pod samo niebo. Wydmuchiwanie jej było pamiętną torturą, pod koniec której pomógł mi cierpiący w milczeniu ojciec, bo aż zzieleniałem z tego smrodu. Jajko – wciąż jeszcze zalatujące przykrym zapaszkiem – umieściłem wreszcie z dumą na poczesnym miejscu w mojej kolekcji na ścianie sypialni.

Współczesnych czytelników pewnie ogarnia zgroza. Dzisiaj zbieracze jajek stoją w hierarchii społecznej tylko

o szczebel niżej od seryjnych morderców (bo też przypuszczam, że w pewnym sensie nimi są). To prawda, że w odróżnieniu od tego łabędziego, większość jajek z mojej kolekcji była żywa, kiedy je podbierałem. Na pewno nie pozwoliłbym moim trzem synom na ten proceder. Ale jednocześnie zyskałem przy tej okazji sporą dawkę wiedzy. Zawsze zabieraliśmy z gniazda tylko jedno jajko i staraliśmy się robić to jak najostrożniej, co oczywiście nie jest żadnym usprawiedliwieniem. Kolekcjonowanie jajek rzadkich ptaków to ohydne przestępstwo i cieszę się, że nigdy nie natrafiłem na nic specjalnie wyjątkowego. Czasem jednak myślę, że brakuje nam dystansu do własnych i nie tylko własnych poczynań. Jak wiele osób, na przykład, potępia zbieranie jajek, a jednocześnie puszcza wolno swoje koty? Przecież każdego roku domowe koty zabijają miliony ptaków i drobnych ssaków!

Po jajkach zacząłem kolekcjonować owady, począwszy od motyli. Matka (na szczęście!) nie pochwałała tego, ale jej wytłumaczyłem, że biorę tylko po jednym męskim i żeńskim osobniku z każdego gatunku, więc nie wyrządzam im zbyt wielkiej krzywdy. Na dobry początek zamówiłem w Worldwide Butterflies, motylej farmie z Dorset, zasuszoną, ale bardzo piękną tropikalną ćmę *Lyssa zampa*. Przesłano mi ją w papierowej kopercie, zapakowanej do pudełka, które otwierałem drżącymi z podniecenia palcami. Nie przewidziałem jednak, że okaz nie jest spreparowany: miał złożone skrzydła i nie wbito go na szpilkę. Chciałem je rozłożyć, nie wiedząc, że w stanie zasuszenia to niemożliwe – taki motyl jest wyjątkowo kruchy i delikatny. Kiedy niezdarnie próbowałem ułożyć ćmę w atrakcyjnej pozycji, odpadły jej oba skrzydła wraz ze znaczną częścią nówek. Zostałem ze smęt-

ną kolekcją części ciała. Zniechęcony, zdobyłem wkrótce potem używaną książkę *Studying Insects* E.B. Forda, z której dowiedziałem się, gdzie popełniłem błąd. Przypiąć szpilką motyla z rozpostartymi symetrycznie skrzydłami, tak jak je pokazują w muzealnych gablotkach, można tylko zaraz po jego uśmierceniu. Jeśli jest wysuszony, trzeba go najpierw „rozluźnić”. W tym celu umieszczamy go na dwa dni (nie dłużej, bo spleśnieje) w puszcze z wilgotną bibułką. Zmiękczone i mokre motyle można przekłuć szpilką i ułożyć w dowolnej pozycji. Po wysuszeniu pozostaną w niej na zawsze, dopóki się ich znów nie zmoczy.

Z książki *Studying Insects* nauczyłem się również, jak w dużym słoiku urządzić śmiertelną pułapkę. Wystarczy wsypać na dno pokruszone liście laurowe, które po rozdrobieniu wydzielają cyjanek, silnie pachnący migdałami (wiedziałem, że to trucizna, ale i tak nie mogłem się powstrzymać od porządnego niucha). Po kilku minutach jest go w słoiku dostatecznie dużo, by motyla zmorzył wieczny sen.

Próbowałem też sklecić urządzenie do łapania motyli z drucianego wieszaka na ubrania i pończoch mamy, ale wysiłek okazał się daremny i bez prawdziwej siatki niczego nie udało mi się tym upolować. Wkrótce potem natrafiłem na adres firmy Watkins & Doncaster z siedzibą w Hawkhurst w Kent. Ogłaszała się jako „dostawca sprzętu dla entomologów”, więc do niej napisałem i po kilku dniach otrzymałem pocztą katalog.

To był doniosły moment w moim życiu, punkt zwrotny, od którego już nigdy nie obejrzałem się wstecz.

Właśnie wróciłem do domu po grze w minirugby, więc musiałem mieć wtedy około ośmiu lat. Ubłocony od stóp

do głów, zabrałem katalog do wanny, żeby poczytać go w kąpieeli. Nigdy w życiu nie widziałem czegoś tak wspa- niałego. Gruby magazyn zawierał strona w stronę zdjęcia najprzedziwniejszych rekwizytów, takich jak siatki na owa- dy, czerpaki, pudełeczka na pigułki, klatki, próbówki, szkła powiększające, duże namiotowe pułapki Malaise'a, mikro- skopy, tablice, pułapki na ćmy, ekshaustory, piękne maho- niowe gabloty. Na końcu znajdował się dział dla wypychaczy z tak fascynującymi obiektami jak łyżka do mózgu, prze- cinaki do kości oraz imponująca kolekcja szklanych oczu. Ten nowy świat poraził mnie, zachwyił. Co więcej, okazało się, że takich jak ja jest więcej! Chciałem kupić ni mniej, ni więcej, tylko całą ofertę, ale na przeszkodzie stanęły surowe limity mojego kieszonkowego. Tak czy inaczej na pierwszy zakup wybrałem pełnowymiarową profesjonalną siatkę entomologiczną, która kosztowała mnie 16 funtów – jak na ośmiolatka prawdziwy majątek – i z której byłem niesłychanie dumny. Prawie mojej wysokości, miała solidną mosiężną rączkę, sztywną metalową ramę i miękkie, bardzo głęboki czarny worek. Czuję, że teraz mógłbym złapać prawie wszystko.

Moja kolekcja motyli stopniowo się rozrastała, podobnie jak zbiór książek o nich oraz o innych owadach. Pierwszą zdobyczą była straszliwie pokiereszowana cynthia\*, ze skrzy- dłami mocno uszkodzonymi po długiej podróży z Maroka. Wkrótce doszły następne: przestrojnik jurтина, duży i mały bielinek, przestrojnik titonus, osadnik egeria, rusałka po- krzywnik, rusałki admirały, modraszek ikar i rusałka pawik. Piękno tych stworzeń po dziś dzień zapiera mi dech. Wciąż

---

\* *Vanessa cardui*.

trzymam te okazy w górnej szufladzie gabloty, na którą było mnie stać dopiero trzy dekady później. Nauczyłem się też wyszukiwać jajeczka i gąsienice (dzięki czemu odkryłem, czym te ostatnie się żywią) oraz rozpoznawać rośliny. Przy odrobinie wysiłku można z łatwością wyhodować z gąsienic motyle i zyskać w ten sposób nowe okazy do kolekcji, a resz- tę wypuścić. Zdobyłem potężny ładunek wiedzy.

Po pewnym czasie moje zainteresowanie motylami roz- szerzyło się na ćmy. Większość z nich lata nocami i żeby je złapać, stosuje się zwykle dwa sposoby. Pierwszy to „na cukier”. Trzeba ugotować ciemny syrop z piwa, brązowe- go cukru, esencji waniliowej, karmelków, rumu lub bran- dy i czego tam jeszcze, byle miało mocny aromat. Każdy kolekcjoner ma własną, pilnie strzeżoną recepturę, a przy- najmniej tak się wydaje. Z każdej takiej mikstury powstaje w końcu gęsta breja, cuchnąca tak, że wyciska łyżę z oczu na pięćdziesiąt kroków. Wtedy o zmierzchu smaruje się nią sztachety płotu albo pnie drzew. Ćmy, zwabione zapachem, zlatują się do syropu i szybko upijają się zawartym w nim al- koholem. Siedzą potem w pobliżu, zamroczone i nierucha- we, na co tylko czeka chciwy zbieracz. Zasmrodziłem cały dom, warząc różne wersje tego płynu, i do tego mocno nad- szarpnąłem kuchenne zapasy cukru, olejków zapachowych oraz alkoholu z barku ojca. Rezultat okazał się marny, bo jedynymi stałymi amatorami poczęstunku były skorcki. Cza- sem przy syropowych plamach kłębiły się ich setki, grzęz- nąc w lepkiej brei i włącząc na siebie jak szalone. Ale żadna ćma się nie pokazała. Sporo nerwów kosztowało mnie też nocne przeczesywanie okolicznych pól (być może częściowo dlatego, że ojciec pozwalał mi i bratu w soboty do póź- nej nocy oglądać horrory, po czym przy mojej nadmierne

pobudzonej wyobraźni w każdym cieniu widziałem wampira). Raz, kiedy sprawdzałem syropową plamę na wielkim jesionie, tuż nad moją głową postanowił odezwać się puszczyk. Chociaż wiedziałem, że to sowa, ledwie oparłem się pokusie, by nie dać dyla do domu, i jeszcze przez dobrych dziesięć minut serce waliło mi jak młotem.

Istnieje jednak drugi, znacznie wygodniejszy sposób, by przyciągnąć ćmy: na światło. Książka *Studying Insects* objaśnia, na czym to polega: ćmy zlatują się do świec i każdego innego źródła światła. Pułapkę buduje się, wieszając silną żarówkę nad pojemnikiem, podobnym trochę do wycierza na homary. Oślepienie światłem ćmy wpadają przez szyb do dużego, ciemnego pojemnika, w którym wcześniej umieściliśmy ulubioną przez nie wytłoczkę po jajkach. Wydało mi się to znacznie łatwiejsze i mniej przerażające niż uganianie się w ciemności po polach z wiaderkiem syropu, więc postanowiłem spróbować.

Umieściłem stuwatową żarówkę nad własnej roboty tekturnym tunelem, wpadającym do plastikowego wiaderka. Zanim położyłem się spać, włączyłem światło i z niecierpliwością czekałem ranka. Ledwie się rozwidniło, pobiegłem obejrzeć łupy. Niestety: złapało się tylko parę os i jedna mała brązowa ćma, jak dziś wiem, *Clepsis peritana*. Ponaślałem próby jeszcze przez parę tygodni, ale bez sukcesu. W końcu wykryłem, że tym, co najlepiej przyciąga ćmy, są promienie ultrafioletowe. Tak się złożyło, że moja matka miała dość osobliwą, staroświecką lampę, której używała do leczenia urazów mięśni, kiedy jeszcze prowadziła zajęcia sportowe w college'u. Urządzenie przypominało ogromną lampę przegubową, ale o dwóch dziwnych żarówkach: jedną

na podczerwień, drugą na ultrafiolet. Po dziś dzień nie mam pojęcia, dlaczego ktoś wpadł na pomysł leczenia urazów ciała opalenizną, podobnie jak podmuchem ciepła; wtedy niewiele jeszcze wiedziano na temat raka skóry. Tak czy inaczej, nigdy nie widziałem, żeby matka używała tej lampy (i chyba bardzo dobrze), toteż wykombinowałem, że nie będzie miała nic przeciwko temu, abym ją wykorzystał w eksperymencie naukowym. Jedyny problem polegał na tym, że nie dawało się włączyć samego ultrafioletu bez podczerwieni. Niezrażony tym, umieściłem obie żarówki obok siebie nad moją amatorską pułapką w wiaderku i zostawiłem na noc. Rano okazało się, że odniosłem połowiczny sukces. Ultrafiolet ściągnął mnóstwo ciem, które jednak spaliły się w żarze podczerwieni i w wiaderku leżały same zwęglone zwłoki. Niezupełnie o to mi chodziło. Rozgoryczony, spróbowałem odłączyć lampy od siebie. W wieku około dziewięciu lat nie uczyłem się jeszcze fizyki, więc musiało to być ryzykowne przedsięwzięcie. Kiedy pstryknąłem wyłącznik tym razem już tylko żarówki UV, ta pękła z hukiem. Poskładałem lampę i włożyłem ją z powrotem do szafki, w nadziei że matka niczego nie zauważy, ale oczywiście zauważyła. Minęło wiele lat, zanim uzbierałem dość pieniędzy, by kupić porządną „rtęciową pułapkę na ćmy Robinsona” (nawiasem mówiąc, absolutnie fantastyczne urządzenie, które oświetla upiornym blaskiem całą okolicę i przyciąga ćmy z odległości kilku kilometrów). Do tego czasu moja kolekcja rozrastała się dość powoli.

Wówczas nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale moje dzieciństwo przypadło na pewien fatalny okres w historii brytyjskiej prowincji, przynajmniej z punktu widzenia motyli i trzmieli. Shropshire może kojarzyć się z sielanką, ale

to złudzenie. Była to – i jest nadal – względnie idylliczna, zielona i przyjemna część Anglii, ale nie stanowi już takiego raję dla dzikiej przyrody jak może niegdyś. Zamieszkałem tam w roku 1972, a na studia wyjechałem w 1984. W weekendy często chodziłem z kolegami trzy kilometry dalej, do Shropshire Union Canal, wyszukując po drodze w żywopłotach ptasie gniazda. Z początku ten spacer wymagał przejścia przez piętnaście pól, ogrodzonych każde własnym żywopłotem. W momencie mojego wyjazdu było to już tylko jedno ogromne pole. Wszystkie żywopłoty, jeden po drugim, wycięto, znaczną część kanału zasypano, wierzch pokryto warstwą żyznej ziemi i teraz jest to po prostu część gruntów rolnych. Tam, gdzie dawniej trzmielę znajdowały jeżyny, pierwiosnki, a nad kanałem czyścice błotne, rosły teraz łany zbóż, monokultura ciągnąca się aż po horyzont. Te zmiany objęły prawie wszystkie brytyjskie niziny i w ogóle Europę Zachodnią, co doprowadziło do zagłady wielu stworzeń. Nasza wieś stała się przez to znacznie uboższa. Ale ta bitwa nie jest jeszcze przegrana. Wolno i ostrożnie wynajdujemy sposoby naprawienia szkód. Naukowcy odkrywają, jak łączyć efektywną uprawę roli z dbałością o okolicę. Istnieje szeroki wachlarz różnych dopłat dla farmerów wspierających ochronę przyrody. Brytyjczycy darzą swoją wieś wraz jej fauną i florą szczególną miłością, toteż szybko narasta fala poparcia dla tej działalności. Włączając się w ten ruch, założyłem w roku 2006 Bumblebee Conservation Trust [Fundusz Ochrony Trzmieli], organizację dobroczynną, która ku mojej radości świetnie się rozwija i liczy obecnie osiem tysięcy członków. Dzięki ich wpłatom powstaje kwietny rezerwat dla trzmieli, ciągnący się od Kent do Pembrokeshire i Caithness. Większość tutejszej dzikiej przyrody

ma się dobrze, a z naszą pomocą da się doprowadzić do jej zupełnego odrodzenia. Z czasem mogą powrócić nawet całkowicie wymarłe gatunki. Ale to już temat pierwszego rozdziału...

**Już jako mały chłopiec Dave Goulson pasjonował się wszelkimi formami życia, ale najbardziej fascynowały go trzmiele: duże, krępe i pokryte gęstym futerkiem pszczoły. Tak, pszczoły. Mniej agresywne od innych przedstawicieli gatunku i równie potrzebne środowisku.**

*Żądła rządzą* to nie tylko historia starań Goulsona o reintrodukowanie niegdyś powszechnych trzmieli paskowanych w Wielkiej Brytanii, ale także pasjonujący opis tych zadziwiających stworzeń – sposobu ich życia i łączących je więzi. Autor przedstawia też katastrofalne skutki, jakie intensyfikacja rolnictwa spowodowała wśród populacji trzmieli i przestrzega przed dalszymi zagrożeniami.

**Goulson pisze: „Zacząłem badać trzmiele dlatego, że mnie fascynują, zachowują się w tajemniczy i interesujący sposób, a poza tym są rozkoszne”.**



[www.marginesy.com.pl](http://www.marginesy.com.pl)



9 788365 586926

cena 34,90 zł

PATRONAT REJONOWY

  
**PSZCZELARIUM**  
pasieki miejskie

w sprzedaży także

